

Serhyj Syniuk
Krzysztof Petek

TYSIĄC BOCHENKÓW

ZAPISKI Z ZAPLECZA WOJNY



TYSIĄC BOCHENKÓW

SERHYJ SYNIUK

Ludzie w różny sposób wychodzili z szoku, jaki przeżyli w pierwszych dniach wojny.

Ja poszedłem do pracy.

Nie było to łatwe, ponieważ z mojego domu do miejsca pracy było czterdzieści kilometrów. Autobusy przestały kursować 24 lutego. Dał się we znaki krótkotrwały kryzys paliwowy. Przewoźnicy pamiętali też o polowaniu na busy, które Rosjanie urządzili w 2014 roku na Donbasie, więc nie chcieli narażać ani pasażerów, ani siebie.

Przez kilka dni musiałem zatem polegać na przypadkowym transporcie.

Choć może się to wydawać dziwne, udało mi się bardzo szybko dotrzeć do pracy – w Bibliotekę Publiczną im. Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. Po ciężkim dniu

i trzykilometrowym spacerze do obwodnicy Wyszyńskiego przyjemnie było złapać oddech na przytulnym przystanku autobusowym. Nawet nie chciało mi się wstawać z ławki, dlatego przepuściłem kilka samochodów w kierunku Szumska. W tym czasie na pobocze zjechał biały mercedes sprinter. Wysoki, barczysty kierowca w średnim wieku wszedł do sklepu, który znajdował się przy przystanku autobusowym. Trzy minuty później wyszedł ze szklanką czegoś ciepłego i jakimś jedzeniem w papierowej torbie. Spojrzał na mnie i zaproponował:

– Jeśli wybiera się Pan do Szumska, to proszę wsiadać.

Gdy tylko otworzyłem prawe drzwi, kierowca powiedział:

– Proszę patrzeć pod nogi. Jedliśmy z kolegą śniadanie w biegu, nie było czasu, żeby posprzątać.

Na dywaniku przed fotelem pasażera leżał schludny worek foliowy. W środku tkwiły dwa tuziny główek i ogonków z wędzonych szprotek. Zdałem sobie jednak sprawę, że dla kierowcy, a może dla właściciela tego idealnie schludnego i zadbanego pojazdu te resztki śniadania, które najwyraźniej trzymał dla jakichś kotów domowych, były rażącym bałaganem, za który jest mu wstyd. Zapewniłem go, że wszystko jest w porządku, i zapytałem, czy daleko jechali z kolegą. Kierowca odpowiedział krótko:

– Do Charkowa.

– I jak tam jest?

W moim pytaniu była nie tylko uprzejmość, ale także nawyk profesjonalnego reportera, który szukał informacji z pierwszej ręki. Kierowca jednak westchnął i machnął

dłonią. Wywnioskowałem z tego, że nie był jeszcze gotowy na rozmowę o tym, co widział i przeżył.

Cóż, „nie” znaczy „nie”.

Ale rozmawiać z nim musiałem. O czymkolwiek. Gorący napój nie wydawał się zbyt pomocny i kierowcę znów dopadły zmęczenie i senność. A na drodze z Szumska do Krzemieńca są sześćdziesiąt dwa małe zakręty. Jeśli na chwilę zmrudzysz oczy, obudzisz się w rowie.

Jeśli w ogóle uda ci się obudzić.

Zacząłem więc delikatnie, ale wytrwale szukać tematu, który zaciekawilby kierowcę. Coraz chętniej odpowiadał na moje pytania o drogę i stacje benzynowe, a szczególnie zainteresował się rozmową, gdy na jego pytanie odpowiedziałem cytatem z Ewangelii. Resztę drogi do Szumska spędziliśmy, omawiając zawilości relacji między wiarą a uczynkami na podstawie drugiego rozdziału Listu Świętego Jakuba. Od czasu do czasu rozpraszały go rozmowy telefoniczne. Zrozumiałem, że kierowca i jego koledzy wspólnie szukali pieniędzy na paliwo na kolejne wyjazdy. Kiedy się żegnaliśmy, kierowca powiedział, że nie muszę płacić za drogę. Ale wyciągnąłem z kieszeni największy banknot, jaki miałem, i powiedziałem, że to nie jest za drogę, tylko na drogę. Na następną podróż.

W drodze z Szumska do mojego legowiska myślałem już o przyszłym eseju o takich kierowcach. Już wtedy zrozumiałem, że nie będę w stanie milczeć. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że kierowcy byli strumykami znacznie szerszej i głębszej rzeki pomocy płynącej na front i do

strefy przyfrontowej. Aby poruszać się w tym nurcie i nie pisać bzdur, konieczna była rozmowa z kimś, kto potrafiłby dostrzec cały obraz.

Poszedłem więc do Żanki.

W swoim biurze nie jest żadną Żanką, lecz Żanną Walerijewną. Kierownikiem Wydziału Organizacyjnego i Kadry Urzędu Miasta Szumska. Jest także koordynatorką Sztabu Pomocy Humanitarnej Rady Miasta.

Znam ją jednak jeszcze z czasów, kiedy była uczennicą szkoły w Szumsku i razem wystawialiśmy sztukę o Bohdanie Łepkim – klasyku literatury ukraińskiej, który, nawiasem mówiąc, został pochowany w Krakowie. Napisałem tę sztukę, a żeby nauczyciele nie biegali w poszukiwaniu odpowiedniego starszego aktora, grałem jednocześnie rolę Łepkiego. Żanna, o ile się nie mylę, była bohaterką liryczną jednego z wczesnych wierszy Bohdana. Później wielokrotnie krzyżowały się nasze drogi w Powiatowej Administracji Państwowej. A potem się okazało, że Żanna była jedną z najlepszych przyjaciółek mojej Olesi. I dlatego – znowu Żanka.

Robota w aparacie instytucji państwowej to jedna z najbardziej niewdzięcznych prac, przynajmniej w Ukrainie. Dopóki aparat działa prawidłowo, nikt tego nie zauważa. I nikt nie powie o tym miłego słowa. Tak jak DOS w starszych komputerach. Mrugają jakieś białe literki na niebieskim tle. Ale bez tych liter nie można obejrzeć kreskówki, znaleźć przepisu na YouTube ani zagrać w *World of Tanks*. Kiedy jednak trzeba koordynować działania setek

osób i dziesiątek instytucji w krytycznych momentach dla miasta, dzielnicy, kraju, okazuje się, że ci „biurokraci” potrzebni są nie tylko sobie samym. Wkład władz lokalnych w przezwyciężenie strachu i zamętu pierwszych godzin wojny, w likwidację ogromnego bałaganu pierwszych jej dni zasługuje na solidną monografię. I na równie grubą, przejmującą powieść. Jednym z największych cudów pierwszej fazy tej wojny jest natychmiastowe stworzenie bezpośrednich, poziomych powiązań między społecznościami w różnych regionach, między grupami wolontariuszy a jednostkami wojskowymi. Rosyjskie centralizowane dostawy suchych racji żywnościowych o terminie ważności sprzed pięciu lat były bladym cieniem spontanicznej, ale potężnej fali dostaw żywności do armii i na tereny przyfrontowe. W zachodniej i środkowej Ukrainie opuszczone fabryki zamieniono na zakłady spożywcze (gotowano konserwy mięsne w autoklawach), szkoły i instytucje kultury stały się małymi wytwórniami spożywczymi (moja macierzysta Biblioteka Publiczna im. Juliusza Słowackiego wysłała kilka samochodów z pierogami i drożdżówkami, podobnie uczyniły setki bibliotek i szkół), uaktywniły się biura organizacji obywatelskich i dziecięcych (szumscy harcerze „płastowcy” nie tylko wyplatali siatki maskujące dla wojska, ale także robili batoniki energetyczno-witaminowe z orzechami i białkami). Dużo jedzenia przynosiły też miejscowe gospodynie prosto z własnych kuchni.

Oprócz dziesiątek osób pracujących w tych improwizowanych fabrykach, setki zajmowały się wyszukiwaniem

i dostarczaniem surowców. Sam tak robiłem w pierwszych dniach wojny: szukałem i nosiłem kasze do konserw, orzechy do batonów, kurtki dziecięce dla przesiedleńców... A całą tę zawieruchę koordynowali i nadawali jej właściwy sens sołtysi i pracownicy urzędu miasta.

– Od początku wojny nie miałam ani jednego dnia wolnego – wyjaśnia Żanna. – Mój numer telefonu był na ukraińskim Facebooku, a rady miejskie z terenów przyfrontowych prosiły o mąkę, suche drożdże, worki z piaskiem, baterie do radioodbiorników i latarek. A ty biegasz w kółko: od kogo to wziąć, czym za to zapłacić, komu przekazać. Niektóre telefony sprawiały, że trzeba było zostawić wszystko i zająć się konkretnym problemem. Dzwonili z Charkowa, niedługo niemowlęta będą umierać z głodu w piwnicach, ponieważ w mieście nie można znaleźć mieszanek żywnościowych. Ani w aptekach, ani w magazynach. Napisali post na Facebooku. Ludzie przychodzili z pomocą, przynosili... Jedni jedzenie, inni pieniądze. Kupili, załadowali, wysłali. Wtedy piętnaście ton pojechało do Charkowa.

– I tysiąc bochenków chleba? – zapytałem, wracając myślami do rozmowy z burmistrzem.

– I tysiąc bochenków chleba. – Żanna się uśmiechnęła. – Tam piekarnie miejskie nie mogły pracować, w sklepach sprzedawano bochenek chleba za sto pięćdziesiąt hrywien. Piekarnia Szewczuka wypiekła więc tysiąc bochenków. Przywieźliśmy je i rozdaliśmy. Wtedy udało się uruchomić małe podmiejskie piekarnie, a my już nie wysyłamy

do Charkowa gotowego chleba, tylko mąkę. O wiele lepiej jest piec na miejscu, niż wozić gotowy chleb przez całą Ukrainę. W trakcie pierwszego tygodnia wojny otrzymaliśmy, przetworzyliśmy i wysłaliśmy ponad siedemdziesiąt ton artykułów pierwszej potrzeby. Wniosków było znacznie więcej niż transportu. Na początku nie wszyscy kierowcy odważyli się też tam jechać. Sytuacja zmieniła się, gdy kierowcy zobaczyli, dla kogo przewożą towar, kogo ratują. Jeden z mężczyzn właśnie przyjechał z obwodu charkowskiego i od razu podstawił samochód do załadunku: „Załaduj mnie bez kolejki, ja wracam!”. Okazało się, że podczas poprzedniej wyprawy znalazł się w jakimś hangarze w środku lasu, gdzie ukryto przed nalotami kilkaset dzieci... i przez kilka dni nie mogli tam dostarczyć jedzenia. Po jednym spojrzeniu w oczy wygłodzonych, ale wdzięcznych dzieci, tego kierowcy nie trzeba było już agitować ani przekonywać. Pojechali też inni. Jeździli, ryzykowali, przebijali się, uszkodzali samochody. Doszło już do jednego wypadku. Ale podejście do samochodów jest teraz inne. Przed wojną sprinter był skarbem. Dbano o niego. Teraz jest to narzędzie, materiał użytkowy. Coś pękło, wyrzucili, wymienili części i ruszyli w drogę. Nieco łatwiej było naszym kierowcom, gdy autobusy z uchodźcami wyruszyły na zachód. Zaczęli przyjmować pomoc, aby nie wracać z pustymi rękami. Przywożą dary tymi samymi sprinterami, kraftami, autobusami szkolnymi.

Naszą rozmowę przerywa dzwonek telefonu. Żanna w trzech krótkich zdaniach wyjaśnia, gdzie należy

odebrać towar i komu go załadować. Potem znów odwraca się do mnie.

– Teraz jest trochę mniej biegania, a więcej pisania. Pomoc jest bardziej monitorowana i kontrolowana. Może to jest właściwe rozwiązanie. Nadal istnieją łajdacy, którzy widzą w tej sytuacji okazję do wzbogacenia się. Ponadto pomocy teraz jest mniej. Częściowo dlatego, że „wojna weszła w granice” i obecnie żywność trafia do wojska i osób poszkodowanych w walkach oficjalnymi kanałami. A częściowo dlatego, że ludzie już rozdali wszystkie zapasy. Teraz redystrybucję należy zamienić na produkcję.

Żegnamy się.

W drodze do wioski widzę, jak Szumszczyzna naprawdę przedstawia się na masową produkcję najbardziej niezbędnych w warunkach wojennych produktów rolnych. W miejscu, gdzie kiedyś rosły egzotyczne krzewy jagodowe, ciągniki traktorowe krzątają się i tłuką, przygotowując teren pod uprawę ziemniaków. Gospodarze z kosiarkami karczują zaniedbane ogródki warzywne pod orkę. Rok temu większość mieszkańców tego rejonu – a jeszcze bardziej ich krewni, którzy latem przyjeżdżali z dużych miast – uważało, że nie trzeba już zakładać ogródków warzywnych, bo taniej i wygodniej jest kupić wszystko w supermarkecie. Teraz te skrawki ziemi znów trafiają pod pług, bo właściciele i gospodynie zdają sobie sprawę, że w tym roku muszą zasiać i zasadzić rośliny nie tylko dla siebie, ale i dla całej Ukrainy.

Duże przedsiębiorstwa rolne również pilnie zmieniają swoje plany upraw. Wcześniej koncentrowano się wyłącznie

na dochodowych uprawach eksportowych. Teraz zostały one wyparte. Dodano grykę, buraki cukrowe i ziemniaki, które są niepotrzebne w Europie, ale strategiczne dla Ukrainy.

Na prośbę mojej mamy uprawiałem jej działkę pod ziemniaki. Oczyszczam z zielonego buszu mój teren o powierzchni czterech arów. Nic na to nie poradzimy – choć ziemniaki są najwolniejszą, to jednocześnie najbardziej wydajną rośliną uprawną na południowym Wołyniu.

Pewnej nocy obudziło mnie głośnie wycie wysokoobrotowych diesli. Długi konwój ciężkiego sprzętu przetaczał się drogą pod moimi oknami. Nie były to jednak czołgi. Na pola wyjechały ciągniki i opryskiwacze. Do nawożenia i ochrony upraw pszenicy ozimej przed szkodnikami i chorobami.

Szumszczyzna da Ukrainie znacznie więcej niż tysiąc bochenków chleba!



Ciasto wielkanocne to jeden z najsmaczniejszych długoterminowych przysmaków, przygotowane do wysłania na front

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

PIERWSZE DNI KOSZMARU

Na naszych oczach rozgrywa się spektakl pełen cierpienia, ale także niewyobrażalnego poświęcenia i determinacji. Na zapleczu ukraińskiego frontu trwa wyścig z czasem. Kobiety lepią pierogi i szykują paczki żywnościowe dla żołnierzy. Mężczyźni wkładają mundury. Matki chcą chronić dzieci. Ojcowie – rodziny. Wszyscy – swój dom. Choćby piekąc chleb.

Książka ta jest świadectwem pierwszych dni wojny w Ukrainie. Tworzą ją relacje zwykłych ludzi: pisarki Oleny Zacharczenko, lekarki Aleksandry Tarczewskiej, prozaika Wiktora Jankewycza, który wziął ślub podczas trzydniowej przepustki z frontu, i wielu innych.

Wiosna 2022 roku to obraz heroizmu kraju, który oparł się pierwszemu ciosowi znacznie silniejszego od siebie agresora. I takie przesłanie Ukraina przekazuje światu, a zwłaszcza tym, którzy ją w tej walce wspierają.

*My tutaj, pod ostrzałami, potrafimy się nie tylko
uśmiechać, ale i śmiać wesoło – bo wierzymy
w zwycięstwo, kochamy życie.*

OLENA ZACHARCZENKO, PISARKA



bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena: 42,90 zł

(w tym VAT)